

## 3 Dzień trzeci — wtorek 23 III

### 3.1 Ewangelia (J 8,21-30)

Jezus powiedział do faryzeuszów: „Ja odchodzę, a wy będziecie Mnie szukać i w grzechu swoim pomrzecie. Tam, gdzie Ja idę, wy pójść nie możecie. Rzekli więc do Niego Żydzi: „Czyżby miał sam siebie zabić, skoro powiada: Tam, gdzie Ja idę, wy pójść nie możecie? A On rzekł do nich: „Wy jesteście z niskości, a Ja jestem z wysoka. Wy jesteście z tego świata, Ja nie jestem z tego świata. Powiedziałem wam, że pomrzecie w grzechach swoich. Tak, jeżeli nie uwierzycie, że Ja jestem, pomrzecie w grzechach swoich. Powiedzieli do Niego: „Kimże Ty jesteś? Odpowiedział im Jezus: „Przede wszystkim po cóż jeszcze do was mówię? Wiele mam o was do powiedzenia i do sądzenia. Ale Ten, który Mnie posłał, jest prawdziwy, a Ja mówię wobec świata to, co usłyszałem od Niego. A oni nie pojęli, że im mówił o Ojcu. Rzekł więc do nich Jezus: „Gdy wywyższycie Syna Człowieczego, wtedy poznacie, że Ja jestem i że Ja nic od siebie nie czynię, ale że to mówię, czego Mnie Ojciec nauczył. A Ten, który Mnie posłał, jest ze Mną: nie pozostawił Mnie samego, bo Ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba. Kiedy to mówił, wielu uwierzyło w Niego.

### 3.2 Lata 1946 – 1956, godz. 10<sup>00</sup>

Moi drodzy! Czas Wielkiego Postu to okres wewnętrznej odnowy. A przewodnikiem po tegorocznej refleksji i medytacji, która do tej wewnętrznej odnowy zmierza, uczyniliśmy Sługę Bożego kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wczoraj na mszy św. o tej porze zastanawialiśmy się, medytowaliśmy nad jego dzieciństwem, nad jego młodością, nad jego dojściem do kapłaństwa. Widzieliśmy, że nie było łatwe. Ale Pan Bóg od tych, których prowadzi, wymaga więcej, niż od innych. Jeżeli wymaga więcej, to daje również im siłę, aby mogli przez to przejść. Zakończyliśmy wczorajszą medytację na tej mszy św. na tym, jak to samotnie, w bocznej kaplicy katedry we Włocławku, otrzymał święcenia kapłańskie. Od tej pory pracował już jako kapłan. Pamiętam słowa kościelnego, który zwrócił się do niego gdy szedł samotnie po święcenia kapłańskie: „Proszę księdza! Z takim zdrowiem to raczej na cmentarz, a nie po święcenia! Ale okazało się, że Pan Bóg postanowił inaczej. I na mszy św. późniejszej, wieczornej, przypatrywaliśmy się, jak ks. Stefan Wyszyński realizował swoje kapłaństwo przez najbliższe ponad 20 lat.

Najpierw był wikariuszem przy katedrze we Włocławku. Następnie został skierowany na studia na KUL. Tam studiował ekonomię, socjologię, nauki społeczne, i prawo kanoniczne. Napisał bardzo dobry doktorat poświęcony stosunkowi rodziny, państwa i Kościoła do nauczania religii. Kiedy przyszło do obrony tego doktoratu również przeżył swoje. Okazało się bowiem podczas obrony, że wie więcej i myśli bardziej wyraziście i bardziej przyszłościowo niż część uczestników owego doktorskiego przewodu. Dlatego zastanawiano się nawet, czy trzeba i można mu dać doktorat. W końcu po dłuższej dyskusji otrzymał stopień *cum laude*, czyli taka słaba czwórka, i uznano, że może otrzymać doktorat za swoją postawę i za całokształt. Kiedy wyjeżdżał z Lublina, a miał wtedy za przewodnika duchowego ks. Władysława Kornilowicza, wysłał list do tych, od których zależały jego naukowe losy, dziękując im za to, czego nauczył się na studiach i czego nauczył się w dniu doktoratu. Wrócił do Włocławka i wkrótce wyjechał w dłuższą podróż po Europie Zachodniej. Był w Austrii, we Włoszech, we Francji, w Belgii i w Holandii, a w końcu w Niemczech. Podróż ta trwała ok. roku. Po drodze uczył się języków: włoskiego, francuskiego. Spotykał Polaków, przede wszystkim w Belgii, w kopalni. Poznał tamtejszy Kościół. Poznał Wieczne Miasto — Rzym. Zrozumiał jeszcze lepiej problemy społeczne. Widział też Niemcy w przededniu przewrotu, którego miał dokonać Hitler. Był zatem dobrze przygotowany. Na tyle dobrze, że gdy powrócił do swojej diecezji, to w 1930 r. został mianowany wikariuszem w wiejskiej parafii w Porzeczu Kujawskim. A parafia była to osobliwa, bo można tam było dojechać tylko końmi, i to nie o każdej porze roku. Kiedy przyszły roztopy, można tam było tylko dojść. Po kilku miesiącach wikariuszowania został przeniesiony do Włocławka. Tam dał się poznać przede wszystkim jako wielki społecznik, wyczulony na ówczesną biedę, na nędzę robotników, na ich ciężkie położenie, i na nędzę także ludzi mieszkających na wsi, zależnych od ziemian. Mówił o tym wielokrotnie.

Jednocześnie z obydwu stron, ze wschodu i z zachodu, Polsce groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Ze wschodu międzynarodowy komunizm, z zachodu narodowy socjalizm. To śmiertelne

niebezpieczeństwo miało się ziścić w 1939 r. Ks. dr Stefan Wyszyński był już wtedy postacią dostatecznie znaną. Kiedy więc najpierw uderzyli na Polskę Niemcy, a następnie Sowietci, po zawarciu ze sobą słynnego paktu Ribbentrop – Mołotow, który stanowił w gruncie rzeczy IV rozbiór Polski, biskup Michał Kozal, biskup wrocławski, polecił ks. Wyszyńskiemu ukryć się, polecił wyjazd z Wrocławka. Zdawał sobie bowiem sprawę, że ks. Wyszyński znajdzie się na początku listy proskrypcyjnej przewidzianej dla tych księży, którzy mieli być aresztowani i zgładzeni. Ks. Wyszyński z Wrocławka wyjechał, biskup Michał Kozal — nie. Wkrótce biskup został aresztowany, wysłany do obozu koncentracyjnego. Tam zmarł z wycieńczenia, z oddania współwięźniom, czczony jest jako święty Kościoła katolickiego. Zginął w obozie śmierci w Dachau. A ks. Wyszyński udał się najpierw do Wrociszewa, gdzie w tym okresie jego ojciec pracował jako organista. Ale ponieważ i tu grunt palił się pod nogami, udał się na Lubelszczyznę. Stamtąd powrócił do Lasek pod Warszawą, gdzie w okresie Powstania Warszawskiego był kapelanem AK.

Przypomnieliśmy wczoraj zwłaszcza jeden epizod, który naszą medytację zakończył. Ten mianowicie, gdy po upadku Powstania Warszawskiego Warszawa płonęła, Warszawa dogorywała. Powiedzieć trzeba że to, czego dopuścili się tutaj Niemcy, to gorzej niż bestialstwo. Zniszczyli całe żywe miasto, jego przeszłość, jego historię, jego dorobek, jego kulturę, jego ludzi. Upokorzyli nas i zniewolili. Sowietci w tym czasie czekali za Wisłą. Mieli bowiem plan, że gdy Niemcy zniszczą Warszawę, to w nowym powojennym porządku stolicą Polski będzie Łódź. I w takiej właśnie atmosferze ks. Wyszyński przyszedł do Warszawy na piechotę z Lasek na początku października 1944 r. Szedł Krakowskim Przedmieściem, obok kościoła Św. Krzyża. Widział zwaloną figurę Chrystusa dźwigającego krzyż. Z naprzeciwka szło trzech Niemców, oficer i dwóch żołnierzy. Oficer w pewnym miejscu zwolnił tak, żeby mógł zostać sam. I gdy zbliżył się do niego ks. Wyszyński, który szedł w sutannie i patrzył na te ruiny, wówczas nachylił się do niego i powiedział: „Ist noch Polen nicht verloren — „Jeszcze Polska nie zginęła. Był to prawdopodobnie jakiś Ślązak.

Tak na gruzach wyniszczonej Warszawy rysowało się nowe życie. Gdy skończyła się wojna, ks. dr Wyszyński wrócił do Wrocławka. Najpierw osiadł mniej więcej 30 km od Wrocławka w parafii Lubraniec, gdzie zaczęto organizować seminarium duchowne. Życie duchowieństwa w tamtym rejonie było straszliwie wyniszczone. Diecezje płocka, wrocławska i pelplińska chełmińska, te diecezje między Warszawą a Gdańskiem, wzdłuż Wisły, Niemcy dokonali tam strasznego mordu na duchowieństwie. Wymordowali ponad  $\frac{1}{3}$  duchownych. Niszczili kościoły, wywozili zabytki kultury i sztuki. Trzeba było wszystko po wojnie odbudowywać. A przede wszystkim brakowało kapłanów. Nie było komu obsłużyć bardzo wielu parafii. Ks. Wyszyński zaczął organizować seminarium duchowne. A gdy było ono już jako tako zorganizowane, i z powrotem zostało ulokowane we Wrocławku, wówczas nastąpiły wydarzenia nowe.

I tak przechodzimy do tego etapu, który jest dzisiaj przedmiotem naszej medytacji. Mówimy o tej biografii przede wszystkim po to, by naszą wiarę umocnić. Dnia 4 marca 1946 r. przyszła nominacja na biskupa lubelskiego. Często mówi się tak, że gdy kogoś mianuje się biskupem, to on się wzbrania i wzdraga, bo tak wypada. Ale nie tak było w tym przypadku. Ks. Wyszyński rzeczywiście prawdziwie wzbraniał się i wzdragał przed tym, co postanowiono. Rzeczywiście przeżywał to, jako wyzwanie arcytrudne. Rzeczywiście myślał o tym i modlił się, by Pan Bóg dał mu siłę. W jednym ze swoich listów napisanych w tym okresie napisał m.in. tak. Że kiedy myśli o tym, że ma być biskupem, i że ma chodzić ubrany w purpurę, w purpurową szatę, w szkarłatną szatę jak to mówił, to napisał: przecież Pan Jezus też chodził w szkarłatnej szacie, i się tym nie smucił. Więc i mnie nie wypada. Dn. 12 maja 1946 r. odbyła się jego konsekracja biskupia na Jasnej Górze. Poprzedzona została ośmiodniowymi rekolekcjami. Chciał bardzo być konsekrowany na biskupa u stóp Najświętszej Maryi Panny, i tam święcenia biskupie przyjął. Już wtedy do Częstochowy przyjechały dziewczęta, które stały się fundamentem Instytutu Prymasowskiego, który towarzyszył mu do samej śmierci, niesłuchanie oddane i wierne we wszystkim, czego potrzebował. Na konsekrację przyjechali także jego rodzice, ojciec i przybrana matka, którzy mogli przeżywać radość ale jednocześnie i obawy związane z tym, który został biskupem. Dn. 26 maja 1946 r. odbył się jego ingres do katedry lubelskiej. Udał się tam ks. biskup Stefan Wyszyński z wielkim wzruszeniem dlatego, że odbył tam cztery lata studiów w latach 1925–1929, na KUL-u zdobył doktorat, znał Lublin bardzo dobrze, znał również jego profesorów. Ale biskup lubelski, jego poprzednik, zmarł w więzieniu, został wręcz zamordowany. Przez długi czas nie było biskupa. Lubelszczyzna była wyniszczona najpierw przez

Niemców — pamiętamy dzieci Zamojszczyzny, a potem weszły tam oddziały sowieckie. W latach 46-, 47-, 48- trwały tam ciągle walki, zwłaszcza na pograniczu polsko ukraińskim. II wojna światowa skończyła się, ale nie wszędzie — tam ciągle dawała o sobie znać. Biskup lubelski odbywając ingres przeżywał go bardzo mocno. Mówił z perspektywy czasu tak o tym, co przyszło mu przeżyć w Lublinie:

Podobało się Bogu, aby doprowadzić mnie po wielu latach służby kapłańskiej do pełni kapłaństwa. W roku 1946 otrzymałem powołanie na biskupa lubelskiego. Byłem tym mocno przestraszony ponieważ czułem, że przerasta to moje siły zwłaszcza w tych trudnych czasach, jakie przed Kościołem Bożym stanęły w okresie powojennym. Szukałem więc pomocy. Przypomniałem sobie modlitwę mojej matki i mojego ojca przed obrazem Matki Bożej Częstochowskiej w kościele parafialnym w Zuzeli. Postanowiłem iść w ich ślady. Dlatego po konsekrację biskupią pojechałem na Jasną Górę.

Wracamy tu do tego, o czym mówiliśmy wczoraj: dzieciństwo, modlitwa ojca i matki, wszczęcie w polską tradycję, wierność względem Najświętszej Maryi Panny, wydają błogosławione owoce w życiu dorosłego człowieka. Często nam się wydaje, że gdy patrzymy na młode pokolenie, to jest ono zupełnie inne od nas. Często nam się wydaje, że wysiłek wychowawczy, edukacyjny, cały trud jest prawdziwie mozolny. Często nam się wydaje, że nie możemy obserwować, dostrzegać owoców pracy wychowawczej. Ale jeżeli robimy to, co do nas należy, to z całą pewnością ta praca przyniesie błogosławione owoce. To z całą pewnością nawet wtedy, kiedy zabraknie ojca i matki przez jego nieobecność albo przez jego czy jej śmierć, to we wnętrzu dorosłego już człowieka odezwie się to, co przeżywał w dzieciństwie. A modlitwa matki i modlitwa ojca wszystko może. Pan Bóg nie zawsze wysłuchuje nas tak, jak byśmy tego chcieli, jak to sobie wyobrażamy. Ale zawsze wysłuchuje tak nas, jak sam to postanowił. Stąd obowiązkiem rodziców jest modlitwa za swoje dzieci w przekonaniu, że żaden rąbek tej modlitwy nie zostanie przed Bogiem zaniedbany ani zapomniany.

Kiedy wchodził biskup Stefan Wyszyński do katedry lubelskiej, to wygłosił tam pierwsze, jako biskup, przemówienie. Po raz pierwszy zwrócił się do wiernych ze słowami, które później wielokrotnie powtarzał: „Dzieci moje!” Już później biskupi tak się nie zwracali, i dzisiaj też nie. A on mówił:

Dzieci Moje! Dwa te słowa mogą się wydać wam zuchwalstwem. Czy mam prawo was, najmilsi, tu zebranych nazywać dziećmi moimi, gdy widzę u wielu posiwiały włos? Zapewne w porządku przyrodzonym byłoby to zuchwalstwem. Ale istnieje inny jeszcze porządek na świecie, stokroć bardziej łączący ludzi niż więzy krwi, nazwiska, narodu. To porządek łaski nadprzyrodzonej ustanowiony na krzyżu przez Chrystusa Pana. W imię tego porządku staję dziś przed wami jako wasz, z woli Boga i Stwórcy, i Stolicy Świętej, ojciec. W duchu tej wspólnoty, która powstała między nami mam nie tylko prawo, ale i obowiązek uważać was, najmilsi, za dzieci swoje. Nazywać was dziećmi swoimi, odczuwać swoje ojcostwo wobec was, zespolonych ze mną w jedną rodzinę Bożą.

To jest wielka umiejętność — być pasterzem bez kompleksów. To jest wielka umiejętność — miłować wiernych i jednocześnie zdawać sobie sprawę jaka jest rola przewodników, jaka jest rola tych, którzy prowadzą. Między biskupem Wyszyńskim, w przyszłości kardynałem i prymasem, a wiernymi, była ta nić synostwa. On zdawał sobie sprawę z tego, żeby człowieka pozyskać, trzeba mówić do niego z głęboką miłością, trzeba go przyjąć takim, jakim jest. I nie wiek tutaj się liczy, bo biskup Wyszyński miał w tym czasie 45 lat, i słuchali go ludzie starsi. Ale dobrze wiedzieli że oto ten, który do nich przemawia, przemawia jak człowiek Boży. Zawsze potrzeba jest Bożych ludzi, którzy umieją prowadzić innych ręką pewną. Którzy zdobywają autorytet nie dzięki gazetom i poklaskowi, ale dzięki wewnętrznej aprobacie sumień tych, którzy gotowi są im zaufać.

Takim właśnie człowiekiem był wielki Prymas Tysiąclecia od początku swojej biskupiej posługi. Doskonale zdawał sobie sprawę, że być pasterzem Kościoła to jest być człowiekiem, którego Bóg prowadzi. A więc może on pewną ręką prowadzić też innych. Wydał na dzień ingresu list pasterski. A w tym liście pasterskim napisał tak:

W uroczystym dla mnie dniu konsekracji w przybytku Królowej Polski, Matki naszej, złożyłem swoje wyznanie wiary i miłości. Wyznałem Jej nie tylko wobec dostojnych przedstawicieli hierarchii kościelnej, ale i wobec was wszystkich, najmilsi bracia, którzy macie prawo do mojej wiary i do mojej miłości. Bo wy, najmilsi, oczekujecie od nas wyznania wiary: „Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego”. Wy oczekujecie od nas nauki wiary, umocnienia naszej wiary, pogłębienia jej. Muszę dla was być najbardziej wierzącym spośród was wszystkich.

Tak, moi drodzy! Jeżeli wierni potrzebują przewodników, kapłanów i biskupów, to nade wszystko potrzebują w nich wielkich i oddanych Bogu, mężnych i autentycznych świadków wiary. Wtedy prawdziwie jesteśmy potrzebni gdy ci, którzy widzą i słuchają, którzy biorą udział w świętych obrzędach, wiedzą, przeczuwają, stają się pewni, że mamy być najbardziej wierzącymi spośród was wszystkich. Macie prawo do mojej wiary — mówił ówczesny biskup lubelski — i do mojej miłości. I to jest miernik wiarygodności pasterzy. I za takimi pasterzami wierni pójdą wszędzie. Bo tacy właśnie ludzie są pasterzami dobrymi. We wspomnieniach Marii Okońskiej, która brała udział w uroczystościach ingresu i w uroczystej procesji biskupa Stefana Wyszyńskiego w Lublinie, pojawia się taki wątek:

Biskup Wyszyński szedł i w procesji błogosławił wiernym, których tłumy były zebrane po obydwu stronach lubelskiej ulicy. I w pewnym momencie doszli do domu partii. I biskup zatrzymał się przed domem partii. A na balkonie i w oknach pełno było świeżych pracowników tej właśnie partii. Więc biskup ich pobłogosławił. A oni ukłękli i przeżegnali się.

Taka to była na tym etapie partia — był to rok 1946. Taka to była społeczna atmosfera, i taka była postawa biskupia, która ogarnia swoim błogosławieństwem każdego człowieka, wyzwalając w nim to, co prawdziwie najlepsze.

Pełnił swoją biskupią posługę w Lublinie przez  $2\frac{1}{2}$  roku. Dał się poznać jako człowiek zatroskany o innych, zatroskany o parafie, zatroskany o młodzież, zatroskany o budowanie nowego ładu społecznego, o budowanie zgody pomiędzy ludźmi, o przełamywanie barier. Pamiętajmy — czas był trudny, a na Lubelszczyźnie szczególnie. Bo oto nieopodal Lublina i Chełma Lubelskiego wytyczona została nowa granica. Odpadł Lwów i całe Kresy, podobnie jak na północnym-wschodzie Wilno i Kresy północno-wschodnie. Trzeba było przyzwyczajać się, że granica jest na wyciągnięcie ręki. Trzeba było widzieć transporty deportowanych ze wschodu na zachód. Trzeba było widzieć wsie spalone przez Niemców w ramach akcji wyniszczających. Trzeba było widzieć zmagania z Ukraińcami, i zmagania także tych, którym nie odpowiadała nowa władza ludowa, z narzuconym nowym porządkiem. Biskup Wyszyński zachowywał w tym wszystkim wielki umiar. I nad wszystkim panował duch modlitwy, wielkiego oddania każdemu człowiekowi, a szczególnie tym, którzy jego miłości potrzebowali.

W październiku 1948 r. po operacji wyrostka robaczkowego zmarł kardynał Hlond. Śmierć była niespodziewana. I wkrótce, bardzo szybko, 12 listopada 1948 r. Ojciec Święty Pius XII mianował jego następcą, arcybiskupem metropolitą gnieźnieńskim i warszawskim biskupa lubelskiego Stefana Wyszyńskiego. Dla biskupa lubelskiego ta nowość to było kolejne trudne wyzwanie. Jako swój herb biskupi, jeszcze w Lublinie, wybrał słowa *Soli Deo*, czyli *Bogu samemu* albo *Jedynemu Bogu*. Dodał do tego dewizę: *per Mariam — przez Maryję*. Teraz, kiedy stanął wobec nowego wyzwania, to i te słowa, o wierności Bogu przez Maryję, nabierały nowego sensu. Na nic zdały się wątpliwości, które przyszły, trudności, które się rysowały — po prostu trzeba było podjąć to wyzwanie, wobec którego stanął. Mówił o tym tak kilka tygodni później:

Świadom jestem chwili nabrzmiałej powagą godności dziejowej tego świętego miejsca  
mówił o Gnieźnie

w którym mówią wieki tchnące wiarą minionych pokoleń narodu zaślubionego Bogu, ubogaconego pracą i krwią tyłu apostołów, prymasów, biskupów i kapłanów, od krwawych śladów męczeńskich stóp wojciechowych, aż do naszych dni, które też wychwalają stopy niezmordowane niosących Dobrą Nowinę.

Jego ingres do Gniezna miał miejsce w uroczystość Matki Boskiej Gromnicznej 2 lutego 1949 r. A do Warszawy cztery dni później, 6 lutego 1949 r. Zanim doszło do jednego i drugiego ingresu arcybiskup metropolita gnieźnieński i warszawski, i prymas Polski — bo ten tytuł od tej pory łączył się z jego posługą — napisał w liście pasterskim tak:

Dziś, na nowym etapie wędrówki narodu naszego z Bogiem poprzez polskie ziemie podobają się Duchowi Świętemu posłać wam, dzieci, na pasterza waszego syna nadbużańskich łąk i piaszczystych pól. Schylając pokornie i z ufnością głowę przed tą mocną wolą Bożą, idę do Gniezna i do Warszawy z tą samą uległością i gotowością służenia wam Dobrą Nowiną, z jakim szło tym utartym szlakiem apostołskim tyłu moich poprzedników. W chwili, gdy z gruzów podnosi się stolica Polski, Warszawa, gdy ociera ze swego uznojonego czoła proch i pył kurzawy wojennej, gdy budzi się do nowego życia i śmiało kreśli swoje nowe drogi rozwojowe, w takiej chwili Kościół, matka Ojczyzny naszej, każe Warszawie pilnie spoglądać ku kołysce duchowej kultury narodu, ku Gnieznu.

To są wielkie, prorocze słowa. Postanowiono odbudowywać Warszawę, nie przeniesiono stolicy polski do Łodzi. Podjęto hasło: *Caty naród buduje swoją stolicę!* Ale ona musiała mieć nie tylko architektoniczny i urbanistyczny kształt, ale także swojego ducha. I prymas na progu swojej posługi mówi: aby Warszawa mogła być sobą musi spoglądać w stronę Gniezna, w stronę tysiąca lat polskiej historii. I on staje się tym spoiwem odbudowywanej Warszawy i Gniezna. Staje się tym spoiwem, które ma ocalić i uchronić kształt ojczyściej historii. Ale jest człowiekiem niezwykle pokornym. Przypomina kim jest: że jest „synem nadbużańskich łąk i piaszczystych pól”. Zdaje sobie sprawę z jakiej skały został wyciosany. I do tego dodaje także podczas ingresu do Warszawy słowa, które wzorowane są na prorocztwie Amosa. A prorocztwo to pochodziło z połowy VIII wieku przed Chr., ponad 2700 lat wcześniej. Mówił tak:

Nie jestem politykiem ani dyplomatą. Nie jestem działaczem ani reformatorem. Ale jestem ojcem waszym duchowym, pasterzem i biskupem dusz waszych.

Te właśnie słowa można uznać za motto całej jego biskupiej i prymasowskiej posługi. Nie dyplomata, nie polityk, nie działacz, nie reformator, ale ojciec, pasterz i biskup. Tak rozpoczął swoją posługę w wyniszczonej Warszawie. Wszystko trzeba było odbudowywać. A on dokładał wszelkich starań, by Warszawa podnosiła się z gruzów, a jednocześnie zwrócił swoje oczy na tzw. Ziemię Odzyskane, północne i zachodnie. Tam trzeba było, gdy przesiedlono miliony ludzi, dać im kapłanów. Trzeba było zorganizować parafie, trzeba było zorganizować struktury kościelne. Tam trzeba było zadbać o to, żeby Kościół mógł zaistnieć, żeby mógł się odrodzić. A czasy były coraz trudniejsze, bo od 1948 i 49 r. nasilały się coraz bardziej represje. Represje stalinowskie skierowane przeciw Kościołowi, skierowane przeciw duchowieństwu. Odczuwał także i wielki prymas te represje. Dn. 16 lutego 1950 r. wystosował list do prezydenta Bolesława Bieruta. W tym liście napisał tak:

Panie Prezydencie, walka z Kościołem, z religią, z Bogiem, w Polsce jest jaskrawo widoczna. Pismo nasze jest głosem sumienia narodu polskiego, który przez nas się odzywa i głos ten zwraca się do Pana, jako Prezydenta Rzeczypospolitej, i zmuszony jest uważać Ciebie, Panie Prezydencie, i Twój rząd, wobec Boga i historii odpowiedzialnym za walkę z religią i Kościołem w Polsce.

Prymas staje jako przedstawiciel narodu wobec tego, który uznawał siebie jako przedstawiciela narodu. I prymas przypomina prezydentowi Rzeczypospolitej jego obowiązki, jego odpowiedzialność za naród. Trzeba powiedzieć, że w każdym pokoleniu jest to zadanie każdego prymasa i wszystkich religijnych przywódców — by przywoływać tych, którzy sprawują, zawsze przejściowo, władzę polityczną i społeczną, do porządku. By ukazywać im odpowiedzialność przed Bogiem i przed historią, za stan duchowy, także ekonomiczny, społeczny narodu, nad którym sprawują władzę. W tej trudnej sytuacji prymas zawarł porozumienie z władzą licząc, że da się ocalić to, co jest jeszcze do ocalenia. Zostało ono zawarte 14 kwietnia 1950 r. Liczył prymas na to, że będzie można w tej trudnej sytuacji uchronić przynajmniej samą duchową tkankę narodu. Dobrze wiedział, że w świecie

nasila się atmosfera zimnej wojny. Dobrze wiedział, że nie przyjdzie nam z pomocą ani Ameryka, ani Zachód, że możemy liczyć na siebie, że sytuacja polityczna nie jest przejściowa, że trzeba będzie w niej szukać *modus vivendi*, sposobu na przetrwanie. Potem o tym porozumieniu mówił tak:

Dlaczego doprowadziłem do porozumienia? Byłem od początku, i jestem nadal zdania, że Polska, a z nią i Kościół święty zbyt wiele utraciła krwi w czasie okupacji hitlerowskiej, by mogła sobie pozwolić na dalszy jej upływ. Do kół kierowniczych episkopatu należało tak prowadzić sprawę Kościoła w polskiej rzeczywistości, by oszczędzić mu nowych strat. Tym więcej, że możemy się spodziewać, że są to *initio dolorum* — *początek boleści*. Że cały rozwój przemian społecznych może doprowadzić do konfliktu chrześcijaństwo — bezbożnictwo. By jednak ten konflikt nie zastał nas nieprzygotowanymi, trzeba zyskać czas by wzmocnić siły do obrony Bożych pozycji.

Oto logika człowieka wiary, oto logika człowieka, który patrząc na wyniszczony naród wie, że bardziej do wyniszczenia dopuścić nie można. Próbuje się układać, ocalić to, co jest do ocalenia, by nie mnożyć męczenników, gdy potrzebni są świadkowie.

Troszczył się wtedy też o uznanie granic i wytyczenie diecezji na Ziemiach Zachodnich. Stolica Apostolska, Watykan, odmawiał temu mówiąc, że nie może uznać nowych diecezji póki nie ma jeszcze politycznie ustalonych i uznanych granic nowego porządku. Nie było między Polską i Niemcami traktatu, który by te nowe granice na Odrze i Nysie uznawał. Zatem wstrzymywano się z uznaniem wytyczeniem granic nowych diecezji i stolic biskupich. W tej sytuacji prymas napisał tak:

Właśnie tego nie mogę zrozumieć. I ja znam prawo publiczne Kościoła, i prawo międzynarodowe, i nie widzę żadnych przeszkód, by głowa Kościoła w tych nominacjach miała zależeć od traktatów międzynarodowych. Czy sześć i pół miliona ludzi ma czekać całe lata na tę łaskę? Czym się to da usprawiedliwić?

To mocne słowa! Słowa Polaka, który przywiązany do Kościoła myśli jednak, i cierpi, i działa głęboko po polsku. To słowa wielkiego patrioty, który stawia mężnie i odważnie arcytrudne pytania. To dzięki jego zdecydowanej postawie niedługo potem Watykan uznał nowe granice stolic biskupich, wytyczył te stolice, mianował biskupów. I mamy porządek, który istnieje do dnia dzisiejszego.

Stawał w obronie godności człowieka, stawał w obronie wiary. Sprzeciwiał się prześladowaniom, sprzeciwiał się tym, którzy chcieli Kościół podzielić. Co dziwne, w tej sytuacji został mianowany kardynałem. Ale nie wypuszczono go po odbiór kardynalskiego biretu. Czekwały na niego trudne czasy. Coraz bardziej sytuacja stawała się dramatyczna, i osiągnęła swój szczyt w maju 1953 r. Wtedy to napisał w liście do Bolesława Bieruta:

W ciągu lat niewiele Kościół pozbawiony został rzeczy bardzo wielu, większości rzeczy do normalnego życia i rozwoju potrzebnych lub zgoła niezbędnych, które w Polsce posiadał i które posiada jeszcze gdzie indziej.

Wobec tych nacisków, wobec jątżenia, wobec wprowadzania podziału, wobec prześladowań kardynał powiedział *Non possumus* — *Nie możemy*, więcej ulec nie możemy. Atmosfera zaczęła coraz bardziej gęstnieć. We wrześniu 1953 r. udał się do seminarium warszawskiego — mamy je tam, za pomnikiem Adama Mickiewicza. I zwracając się do kleryków powiedział tak:

Gdy będę w więzieniu a powiedzą wam, że prymas zdradził sprawy Boże — nie wiercie. Gdyby mówili, że prymas ma nieczyste ręce — nie wiercie. Gdyby mówili, że prymas stchórzył — nie wiercie. Gdy będą mówili, że prymas działa przeciwko narodowi i własnej ojczyźnie — nie wiercie. Kocham ojczyznę więcej, niż swoje serce. I wszystko, co czynię dla Kościoła, czynię dla niej. Prymas nigdy nie zdradził i nie zdradzi sprawy Kościoła, choćby miał za to zapłacić życiem i własną krwią.

Tak widać metody ówczesnej propagandy, trwające zresztą do dzisiaj. Na usługach antychrześcijańskiej i antykościelnej propagandy stają środki masowego przekazu. Często dzieje się tak, że

ludzie dają wiarę temu wszystkiemu, co wyczytają, co zobaczą na ekranie bądź usłyszą, czy przeczytają w internecie. Prymas zachęca do wiary w tych, którzy z mandatu Bożego prowadzą innych i przechodzą przez ciężką drogę. Do zaufania tym, którym trzeba zaufać.

Kilka godzin później, w nocy z 25 na 26 września, prymas został aresztowany. Dom arcybiskupów lubelskich na Miodowej otoczyło UB. Do środka weszło kilku panów w skórzanych — „ceratowych” kurtkach i zażądało, aby prymas udał się z nimi. Nie wziął ze sobą nic prócz tego, co najbardziej konieczne. Jego pies, owczarek, jednego z tych ubeków ugryzł w rękę. Opatrzono mu tę powierzchowną ranę. I prymas później mówił, że właściwie tej nocy to w jego obronie stanął tylko ten pies.

Tak było przez kilka następnych lat. Stosunek innych, także duchowieństwa, do uwięzienia prymasa, pozostawiał wiele do życzenia. Byli tacy, którzy okazali się wierni jak arcybiskup Baraniak, który trafił do więzienia na Rakowiecką, gdzie przez trzy lata był poddawany przesłuchaniom, torturom i dręczeniu. Ale byli tacy również, którzy obrali drogę znacznie łatwiejszą.

Prymas został przewieziony do ośrodka odosobnienia w Rywałdzie, a po kilku tygodniach do Stoczka Warmińskiego, a potem do Prudnika Śląskiego, a następnie do Komańczy. Te miejsca odosobnienia miały jedno wspólne — znajdowały się blisko granicy. Każde z nich: Stoczek Warmiński był blisko nowej granicy z dawnym Związkiem Radzieckim, Prudnik Śląski — z Czechosłowacją, Komańcza — obok granicy z Czechosłowacją i z dawnym Związkiem Radzieckim. Władze komunistyczne zakładały, że gdyby działo się coś ważnego, prymas zostanie natychmiast przerzucony za granicę. Na szczęście do tego nie doszło. Przez trzy lata pozostawał w odosobnieniu, w izolacji, później nieco złagodzonej. Ale te trzy lata w żadnym wypadku nie były dla niego bezowocne. Te trzy lata wykorzystał od początku do końca na wielką duchową pracę, której później owocem stało się później przeżywanie Millenium Chrztu Polski. Patrząc z perspektywy napisał tak:

Nigdy nie wyrzekłbym się tych trzech lat, i takich trzech lat, z curriculum mojego życia. Jednak lepiej, że upłynęły one w więzieniu, niż miałyby upłynąć na Miodowej. Lepiej dla chwały Bożej, dla pozycji Kościoła powszechnego w świecie jako stróża prawdy i wolności sumień, lepiej dla Kościoła w Polsce, i lepiej dla pozycji mojego narodu. Lepiej dla moich diecezjan, i dla wzmocnienia postawy duchowieństwa. A już na pewno lepiej dla dobra mej duszy. Ten wniosek zamykam dziś w godzinie mojego aresztowania swoim Te Deum i Magnificat.

Tak pisał dokładnie trzy lata po jego uwięzieniu. Dn. 26 października 1956 r. dotarła do niego wieść, że może wrócić do Warszawy. Odpowiedział krótko:

Prymas Polski zawsze uważał, że jego miejsce jest w Warszawie.

Dwa dni później umożliwiono mu powrót, i powrócił do Warszawy. Swoje pierwsze kroki skierował do tej kaplicy, kaplicy Baryczków, po mojej prawej stronie. I swoje powitanie z Warszawą rozpoczął od modlitwy przed cudownym wizerunkiem Chrystusa ukrzyżowanego.

I my naszą medytację zakończmy w tym miejscu. Warto po mszy św., a także przy innych okazjach gdy przyjdziemy tu, na Stare Miasto i do warszawskiej katedry, uklęknąć przed tą figurą Chrystusa Ukrzyżowanego. To ona odtąd miała dalej prowadzić wielkiego Prymasa Tysiąclecia. A była to jedyna figura, która ocalała z wojennej pożogi.

### 3.3 Lata 1956 – 1966, godz. 19<sup>00</sup>

Moi drodzy! To jest nasza czwarta medytacja nad biografią i nauczaniem wielkiego Prymasa Tysiąclecia. Wczoraj o tej porze zakończyliśmy ją doprowadzeniem jej do końca II wojny światowej, do powrotu Stefana Wyszyńskiego do Włocławka, gdzie otrzymał zadanie odbudowy tamtejszego seminarium duchownego. Podczas porannej konferencji mówiliśmy o jego dalszym życiu. O tym, jak otrzymał w kwietniu wieść, wiadomość, że został mianowany biskupem lubelskim, jak został konsekrowany na Jasnej Górze, z jakimi wahaniem przyjął to biskupstwo, do którego został wezwany, i jak udał się do Lublina. Podczas swojego pierwszego wystąpienia w Lublinie jako biskup, 26 maja 1946 r., zwrócił się do zebranych tam wiernych — i chciałbym raz jeszcze przytoczyć te

słowa, bo one są ważne dla całej jego późniejszej biskupiej i prymasowskiej posługi. Po raz pierwszy jako biskup zwrócił się do zebranych wiernych, mówiąc do nich, rozpoczynając mowę od słów *Dzieci Moje*:

Dzieci Moje! Dwa te słowa mogą się wam wydać zuchwalstwem. Czy mam prawo was, najmilsi, tu zebranych nazywać dziećmi moimi, gdy widzę u wielu posiwiały włos? Zapewne w porządku przyrodzonym byłoby to zuchwalstwem. Ale istnieje inny jeszcze porządek na świecie, stokroć silniej łączący ludzi niż więzy krwi, nazwiska, narodu. To porządek łaski nadprzyrodzonej ustanowiony na krzyżu przez Chrystusa Pana. W imię tego porządku staję dziś przed wami jako wasz, z woli Boga, i Stolicy Świętej, ojciec. W duchu tej wspólnoty, która powstała między nami mam nie tylko prawo, ale i obowiązek uważać was, najmilsi, za dzieci swoje. Nazywać was dziećmi swoimi, odczuwać swoje ojcostwo wobec was, zespolonych ze mną w jedną rodzinę Bożą.

Mówiąc te słowa biskup Wyszyński miał 45 lat. Wiedział doskonale, że zwraca się także do osób starszych znacznie niż on. Ale tak od początku swojej biskupiej posługi tworzył niezwykłą więź, więź ojcowską i synowską, więź zaufania i dobroci. Pokazywał kim dla wiernych jest ten, który ich prowadzi. Przede wszystkim jako biskup, jako ich pasterz. Pozostało mu to do końca jego życia. Czuł się odpowiedzialny za wszystkich, i za każdego człowieka.

Tak rozpoczął swoją posługę w Lublinie. Trwała dwa i pół roku. Była trudna z wielu powodów, bo czas to był powojenny. A gdy zmarł kardynał August Hlond po operacji wyrostka robaczkowego, zmarł dość niespodziewanie, wtedy papież Pius XII powołał na stolicę biskupią metropolitalną w Gnieźnie i Warszawie biskupa lubelskiego. Było to kolejne dla niego wielkie zaskoczenie. Przyjął je z dużymi wahaniem. Dobrze wiedział, że musi mu towarzyszyć życzliwość, modlitwa i wsparcie wiernych. Odbił 2 lutego 1949 r. ingres do Gniezna, cztery dni później, 6 lutego, ingres do Warszawy. Ale cóż to były za ingresy, zwłaszcza w Warszawie, jeżeli miasto było dookoła w ruinie. Odbывał te ingresy i miał przed sobą ogrom pracy, bo czas był niezwykle trudny. Nasilały się represje stalinowskie przeciwko wierzącym i przeciwko Kościołowi. Z miesiąca na miesiąc stawały się coraz bardziej dolegliwe. Szukał jakiejś drogi wyjścia. Zawarł w kwietniu 1950 r. z władzami porozumienie, co długo miano mu za złe sądząc, mówiąc, że dogaduje się z czerwonymi. Nazwano go nawet czerwonym biskupem. Ale on wiedział, że Polska jest tak wyniszczona, duchowieństwo i wierni tak dotknięci stratami wojennymi, że nie można ich narażać na dalszą konfrontację, nie można dopuścić do rozlewu krwi. Próbował ułożyć się. Gdy mu zarzucano, że dogaduje się z diabłem, powiedział: „Z diabłem — nie, ale z ludźmi — tak!” Te wysiłki nie zdały się jednak na wiele. Represje stawały się coraz bardziej dotkliwe, coraz bardziej dolegliwe. Trzeba było coraz to powiedzieć: „Nie możemy!” Nie możemy zgodzić się na to, i jeszcze na to. Nie możemy pójść w tym kierunku. Powtarzał tak słowa arcybiskupa Szczęsnego Felińskiego, który kilkadziesiąt lat przed nim, w okresie zaborów, również powiedział „Non possumus!”

W drugiej połowie 1953 r. atmosfera stała się już bardzo napięta. Widać było, że coś wisi w powietrzu, i że to, co się szykuje, jest bardzo groźne. Dn. 25 września 1953 r. udał się do seminarium duchownego, tam, w budynku za pomnikiem Adama Mickiewicza. Było to jego ostatnie wystąpienie przed uwięzieniem. Zwracając się do kleryków powiedział tak:

Gdy będę w więzieniu a powiedzą wam, że prymas zdradził sprawy Boże — nie wiercie. Gdyby mówili, że prymas ma nieczyste ręce — nie wiercie. Gdyby mówili, że prymas stchórzył — nie wiercie. Gdy będą mówili, że prymas działa przeciwko narodowi i własnej ojczyźnie — nie wiercie. Kocham ojczyznę więcej, niż swoje serce. I wszystko, co czynię dla Kościoła, czynię dla niej. Prymas nigdy nie zdradził i nie zdradzi sprawy Kościoła, choćby miał za to zapłacić życiem i własną krwią.

Kilka godzin później tego samego dnia, 25 września, dom, w którym mieszkał na Miodowej, otoczyło UB. Kilku z nich weszło do środka. W obronie prymasa stanął pies — ugryzł jednego z ubeków w rękę przez taki ceratowy-skórzany płaszcz. Wiele złego mu się nie stało, ale trzeba było rękę opatrzyć. Prymas został zaprowadzony do samochodu, w którym szyby były zasłonięte papierem i farbą, i wywieziony z Warszawy. Rozpoczęło się jego uwięzienie. Przebywał w czterech kolejno miejscach: w Rywałdzie, w Stoczku Warmińskim, w Prudniku Śląskim, i w Komańczy. Za



każdym razem blisko granicy. Najpierw blisko granicy północnej z dawnym Związkiem Radzieckim, potem z Czechosłowacją, a później, w Komańczy i z Czechosłowacją i ze Związkiem Radzieckim. Zamyśl był prosty i aż nadto widoczny: gdyby wydarzyło się coś niepokojącego, prymas miał być przerzucony natychmiast za granicę. Na szczęście do tego nie doszło. Przez te trzy lata odosobnienia w więzieniu przeżywał prawdziwą gehennę. Był podsłuchiwany, miał w swoim otoczeniu donosicieli i szpiegów, nawet wśród bliskich. Wiedział, że został opuszczony przez wielu duchownych — to też bardzo ciężki cios dla niego. Zdawał sobie sprawę, że jest przedstawiany źle w ówczesnych środkach masowego przekazu, którymi były przede wszystkim gazety, w oficjalnej propagandzie. Bolał z tego powodu bardzo. Czuł się bezsilny, ale nie do tego stopnia, żeby być słabym. Ułożył sobie program codziennego dnia. I poprzez modlitwę i głęboką ufność dał dowód, że jeżeli się człowieka nie złamie, to się go umocni. I on wyszedł po trzech latach umocniony. Dokonał bardzo wiele. Pisał „Więzienne zapiski”, w których notował stan swojego ducha. Napisał „Listy do swoich kapłanów”, chociaż mogli kapłani przeczytać te listy dopiero znacznie później.

A przede wszystkim, zwłaszcza w późniejszym okresie, obmyślał program wielkiej odnowy duchowej całego narodu. Wiedział, że jego prześladowanie nie może trwać zawsze, że tak czy inaczej musi się skończyć. Gdy atmosfera polityczna się zmieniała zdawał sobie sprawę, że trzeba przygotować cały naród na tę ewentualność. Przebywając w Komańczy uświadomił sobie, że jest niedaleko starego polskiego Lwowa. A we Lwowie w roku 1656 król Jan Kazimierz złożył ślubowanie Najświętszej Maryi Pannie. I pamiętał prymas, że wkrótce, czyli w roku 1956, przypadnie 300 lat od tych ślubów. Przebywał ciągle w więzieniu, ale ułożył tekst jasnogórskiego ślubowania, i wiosną 1956 r. przekazał go do Częstochowy, na Jasną Górę. Dn. 26 sierpnia tegoż roku na Jasnej Górze zebrał się ponad milion wiernych. Była to wielka patriotyczna manifestacja w kraju, który miał być skomunizowany. Ludzie podnieśli głowy. Władze zrozumiały, że nie ustąpią ci, którzy rozpoznali swoją godność. U stóp Jasnej Góry, pod nieobecność prymasa, a w obecności tych ponad miliona wiernych, odczytano tekst, który prymas przygotował. Rozpoczął się tak:

Wielka Boga-Człowieka Matko!  
Bogurodzico Dziewico, Bogiem sławiona Maryjo!  
Królowo świata i Polski Królowo!

Gdy upływają trzy wieki od radosnego dnia, w którym zostałam Królową Polski, oto my, dzieci Narodu polskiego i Twoje dzieci, krew z krwi Przodków naszych, stajemy znów przed Tobą, pełni tych samych uczuć miłości, wierności i nadziei, jakie ożywiały ongiś Ojców naszych.

Oto są korzenie naszej suwerenności, niepodległości i wolności, którą możemy się cieszyć. Oto był dzień, który stał się po II wojnie światowej przełomem. Dobrze wiedziano, że Polska nie jest taka sama, jak przedtem, ale jest ta sama. Z więzienia wielki Prymas Tysiąclecia przemówił głosem nawiązującym do Bogurodzicy i ukazującym rodakom naszą narodową i chrześcijańską godność. Dawne „Non possumus” — „Nie możemy” zamieniło się w wielkie „Possumus” — „Możemy!” Możemy być sobą, przetrwamy. Potrzebna jest konsolidacja, potrzebna jest jedność, potrzebna jest solidarność. Władze zrozumiały, że dłużej już na ten stan pozwolić nie można. Dlatego 26 października 1956 r. wysłano do Komańczy dwóch delegatów partyjnych którzy obwieścili prymasowi, że może wrócić do Warszawy. Odpowiedział:

Mogę wrócić? Ja zawsze uważałem, że miejsce prymasa jest w Warszawie.

Wrócił do Warszawy dwa dni później, 28 października 1956 r. I pierwsze swoje kroki skierował do kaplicy Baryczków w archikatedrze św. Jana, w której jesteście. Ta kaplica jest po mojej prawej stronie. I pierwsze kroki skierował przed wizerunek Chrystusa Ukrzyżowanego, cudowny wizerunek, który przetrwał zagładę tej katedry. Tam długo się modlił, i dopiero od tego wizerunku udał się do swojego domu.

Powróciwszy do Warszawy przebaczył wszystkim, którzy dotknęli go prześladowaniami, ale także tym, którzy go opuścili i zdradzili. Wśród najbardziej wiernych był biskup Baraniak, który w tym czasie, kiedy prymas przebywał w więzieniu, został wtrącony do więzienia na Rakowieckiej. Tam

przeszedł ciężkie przesłuchania, tam przeszedł szykany, ale wyszedł z nich zwycięsko. Przyjaźnili się do końca życia.

Ksiądz prymas rozpoczął z nową energią swoją duszpasterską pracę. A sedno tej duszpasterskiej pracy stanowiło przygotowanie do obchodów Tysiąclecia Chrztu Polski. Prymas nie oglądał się wstecz, patrzył zawsze do przodu — jak prorok, który dobrze wie, że przyszłość nie jest po to, by ją zapowiadać, przepowiadać i odgadywać, ale po to, żeby ją kształtować. Kształtował więc wielki prymas przyszłość narodu polskiego. I postawił przed narodem niezwykle program. Kiedy wszystkim wydawało się na fali tych reform politycznych, że wolność oznacza swobodę, a nawet swawolę, to prymas przeznaczył lata, które pozostały do Tysiąclecia Chrztu Polski, a było ich dziewięć, na Wielką Nowennę. Posłuchajmy programu tej nowenny, każdy rok miał swoje duszpasterskie hasło.

I tak rok 1957, pierwszy rok, był pod hasłem *Wierność Bogu, Krzyżowi, Ewangelii Chrystusowej i Kościołowi*. W tej trudnej sytuacji odnowić wierność wobec Boga, Chrystusa i Kościoła. Dlatego nasi ojcowie, dziadkowie nie zostali złamani, dlatego przetrwali. Dlatego okazało się, że silniejsza niż ustrój i ideologia jest wiara i przyłgnięcie do Boga. Drugi rok: *Żyć w stanie łaski uświęcającej*. Jeżeli chcesz zmieniać świat, zmień najpierw siebie, zaczynaj od siebie. Tak jest zawsze, i dzisiaj też. Trzeci rok: *W obronie życia duszy i ciała, w obronie człowieka*. W obronie człowieka pojętego w całości. W obronie człowieka, który zmierza ku nieśmiertelności, i człowieka, który ma prawo do życia. Rok czwarty: *Świętość małżeństwa sakramentalnego*. Rok piąty: *Rodzina Bogiem silna*. Rok szósty: *Młodzież wierna Chrystusowi*. Rok siódmy: *Walka z wadami narodowymi i zdobywanie cnót chrześcijańskich*. Rok ósmy: *Pod opieką Bogurodzicy, Królowej Polski*. I rok dziewiąty: *Millenium Chrztu Polski*.

Cały duszpasterski program realizowany przez księdza prymasa z żelazną konsekwencją. W tym czasie wygłosił kilka tysięcy kazań, homilii. W tym czasie odwiedził tysiące świątyń, kościołów, kaplic. Poświęcał, chrzczył, bierzmował. Szczególnie często przebywał na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Integrował je z Polską, przypominał korzenie.

Wiosną 1957 r. po raz pierwszy od kilku lat, i pierwszy raz po uwięzieniu, udał się do Rzymu aby odebrać kapelusze kardynalski. Nałożył mu go sam papież Pius XII. Był to czas wielkiego święta, poczytywano to za przeogromny honor i wyróżnienie. A posłuchajmy, co on sam napisał, powiedział o tym, co przeżył w Watykanie, kiedy przyjmował kardynalskie insygnia. Powiedział tak:

O wiele stosowniejsze byłyby dla mnie nadbużańskie łąki, niż to miejsce. Wydało mi się, że dopełnia się nade mną *extrema unctio* (ostatnie namaszczenie) Kościoła Powszechnego. Potem przyjść może tylko to, do czego wkrótce zachęci mnie Ojciec św., do wierności, aż do przelania krwi.

Przyjmując kardynalskie insygnia w Watykanie deklaruje, poświadcza, mówi, że lepiej by mu było na nadbużańskich łąkach. Jakże człowiek musi być przywiązany do własnej ojczyzny, jakże musi ją kochać, żeby przeżywać w ten sposób to, co go spotyka.

Cieszył się wielkim uznaniem papieży. W 1958 r. Pius XII zmarł. Dnia 28 października 1958 r. został wybrany nowy papież, Jan XXIII. W dniu wyboru miał 78 lat. Wydawało się, że będzie to papież przejściowy. Ale kiedy Bóg kieruje historią, przejściowość obraca się, służy wieczności. Papież Jan XXIII wywarł przeogromny wpływ na bieg dziejów Kościoła. W miesiąc po wyborze Jan XXIII przyjął u siebie kardynała Stefana Wyszyńskiego. Kardynał Wyszyński udał się z małą grupką biskupów i kapłanów rzymskich i nieśli ze sobą do papieża wykonaną z majoliki tabliczkę, na której było zapewnienie o nowennie w intencji papieża w Częstochowie. A artystka, Kazimiera Dąbrowska, która w Watykanie projektowała m.in. znaczki pocztowe, umieściła na tej majolikowej tabliczce portret Jana XXIII. Kardynał Wyszyński trzyma tę tabliczkę w ręku, podaje Ojcu Świętemu Janowi XXIII. Papież przygląda się, i jest trochę zakłopotany. Ksiądz prymas próbuje zgadnąć powody tego zakłopotania. Patrzy na papieża, a papież mówi do prymasa, patrząc na swoją podobiznę: „Un poco inbellito” — „Trochę upiękuszony”. Tak spotykali się ci wielcy ludzie, Jan XXIII, który od tej pory był wielkim przyjacielem kardynała Stefana Wyszyńskiego, a nade wszystko wielkim przyjacielem Polski i Polaków. Ile razy kardynał Wyszyński mógł być w Rzymie, tyle razy mógł zawsze liczyć na bliskość, serdeczność i ciepło Jana XXIII. Jan XXIII dobrze wiedział co to znaczy cierpieć dla Chrystusa w takim kraju, jak Polska. „Polonia semper fidelis” powtarzał, i dodawał:

„Częstochowa, Częstochowa”. A dla Rzymian, dla Włochów, na Zachodzie — kiedy usłyszeli słowo „Polonia”, to dodawali „Wyszyński, Wyszyński”.

Tak umacniała się jego przepiękna legenda. Ale prymas nie żył legendą. Prymas żył tym, co miało przyszłość. Jednym z jego wielkich dokonań było dzieło peregrynacji obrazu, wizerunku Najświętszej Maryi Panny. Ten wizerunek-matka został poświęcony przez samego papieża i przywieziony do Polski. Sporządzono wizerunki-kopie, i w każdej diecezji był ten wizerunek, i z początkiem lat 60 rozpoczęło się nawiedzenie. Każda katolicka rodzina poprzez swoją parafię przyjmowała u siebie obraz.

I tak dotykamy sprawy bardzo ważnej — związku między wiarą a tradycją. Wiara, jeżeli nie jest osadzona w tradycji, jest narażona na ogromne niebezpieczeństwo. Kłopoty z wiarą płyną nie tyle z rozumu, co ze sposobu życia. Jeżeli ktoś żyje tak że lepiej byłoby, żeby Boga nie było, to znajdzie dziesiątki argumentów, żeby się w tym utwierdzić. Ale pewnego dnia przychodzi opamiętanie. A przychodzi ono zwłaszcza wtedy, kiedy umocnieniem dla wiary jest tradycja. W tamtych latach wielu ludzi z rozmaitych powodów: dla kariery, dla chleba, dla lepszej pensji, dla urzędu, dla stanowiska, dla funkcji, odchodziło od Kościoła, czasami odchodziło od wiary. Prymas wiedział, że gdy wrócą do rodzinnego domu, zobaczą obrus wigilijny, sianko, choinkę, kiedy usłyszą śnieg skrzypiący pod nogami w drodze na roraty czy na Pasterkę, to zadadzą sobie pytanie o Boga. I zarządził tę peregrynację obrazu. Wielu miało mu to za złe mówiąc, że to zbyt proste. Ale prymas powtarzał, że wiara Polaków wykuwa się nie w gazetach, nie u dziennikarzy, nie u inteligencji, ale u prostych matek i ojców, którzy zginają kolana i modlą się za swoje dzieci. Że wiara Polaków wykuwa się pod kapliczką i pod przydrożnym krzyżem. Że tam, gdzie jest modlitwa, tam jest wiara. I to jest sposób na przetrwanie.

I w okresie, kiedy nasilała się coraz bardziej indoktrynacja, to w poszczególnych parafiach, osadach, wioskach, miastach, obraz przechodził z rodziny do rodziny. Czasami był z tym prawdziwy kłopot bo zastanawiano się, czy przyjąć. Przyjmowano. Czasami — nie, i wtedy stawały się widoczne pewne granice, podziały. Trzeba było je usuwać, zasypywać. Trzeba było się modlić za siebie nawzajem. I tak czyniono. Były to bardzo trudne lata. A ówczesne władze komunistyczne coraz bardziej obracały się przeciwko prymasowi. Znalazły też chętnych sprzymierzeńców, zarówno po swojej stronie, jak i czasami w Kościele. Zarzucano prymasowi, że jest zbyt ludowy, folklorystyczny. Że idzie za tym, co tradycyjne, plebejskie, a wiara powinna być wyrafinowana, wiara potrzebuje podbudowy rozumowej. Ale prymas wiedział, gdzie są korzenie wiary — w ludzkim sumieniu, i wewnątrz, w sercu. I tam wiara ma najsilniejsze zakorzenienie. I to okazała się zbawienna strategia, zbawienne wyjście. Bo gdy ludzie gubili się i odchodzili to zawsze znalazło się coś, co ich wzywało do opamiętania. I nawet ci, którzy deklarowali publicznie niewiarę, to po cichu chrzcili swoje dzieci, posyłali do pierwszej komunii, zachowywali tradycje ojców, przychodzili do ojca, do matki, do babci, do dziadka, na pogrzeb i przypominali sobie, kim są. To jest zasługa wielkiego Prymasa Tysiąclecia.

Gdy w 1961 r. Gomółka nazywał prymasa półinteligentem, prymas się nie obrażał. Dodał, że te drugie półinteligencji ma pewnie Gomółka — więc podzielili między siebie. Na początku lat 60., w 1961 r., usunięto religię ze szkół. Wtedy ci, którzy uczyli religii, musieli uczyć ją w małych salkach, w domach, nieraz w oborach. Ja sam pamiętam jeszcze w latach 70. uczyłem na wsi religii w oborze. Po sąsiedzku za ścianą były krowy. Kiedy przychodziło dużo dzieci, to i krowom było cieplej, i dzieciom było cieplej.

Takie były warunki w latach 60., w latach 70. Ale prymas był nieugięty. Trzeba było uczyć wiary, i to wiary zakorzenionej w tej tysiącletniej tradycji. Szczytem tego było Millenium, obchody Tysiąclecia Chrztu Polski. Gromadziły one tysiące ludzi w każdym większym mieście, przy każdej katedrze. Zbierano się, gromadziło, a prymas stawał i niezłomnie przypominał o skale, z której zostaliśmy wyciosani, o Gnieźnie, które jest naszym gniazdem, o historii, która liczy sobie tysiąc lat, o godności chrześcijanina. I przypominał, że innej Polski nie było — i nie będzie. Przeszkadzano mu na rozmaite sposoby, można by tutaj przytaczać wiele przykładów.

A to przeszkadzanie miało także związek z listem, który biskupi polscy wystosowali do biskupów niemieckich. Krok był niezwykle ryzykowny. Upłynęło zaledwie dwadzieścia lat od wojny. Dwadzieścia lat to mało. Wciąż w Warszawie były jeszcze ruiny, wciąż było widać ślady wojny w całej Polsce. Wciąż matki oplakiwały swoich synów i córki. Wciąż jeszcze w rodzinach przeżywano te dramaty.

Dramaty również milczenia po Powstaniu Warszawskim, po Katyniu. Wszystko to było świeże. Ale prymas brał udział w Soborze Watykańskim II, prymas udawał się do grobów apostołów. Prymas dobrze wiedział, że być chrześcijaninem to znaczy wyrzucić ze swojego serca nienawiść. Że kto żywi nienawiść, ten najbardziej zubaża samego siebie. Że nienawiść najbardziej okalecza tych, którzy ją w sobie mają. Dlatego biskupi polscy, pod jego przewodnictwem, wyciągnęli rękę. Wyciągnęli rękę do biskupów niemieckich i powiedzieli im słynne słowa: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Mieli w tej drugiej części na myśli to, co przeżyli Niemcy usunięci po wojnie z ziem, na których się urodzili i mieszkali. Usunięci decyzjami aliantów, ale przecież to też byli ludzie. Te słowa wywołały burzę i oskarżenia przeciwko prymasowi. Jeżeli człowiek chce być chrześcijaninem do końca, musi go to kosztować. Chrześcijaństwo jest piękne, i dlatego nie jest łatwe. A najtrudniejszą zasadą jest przykazanie miłości, miłości nieprzyjaciół zwłaszcza. Nie ma drugiej religii, która ma, zna przykazanie miłości nieprzyjaciół. Chrześcijaństwo je ma.

Gdy więc były obchody Tysiąclecia Chrztu Polski, obrócono się przeciw prymasowi. Przechodził w procesji z kościoła św. Anny na Miodową, do domu arcybiskupów warszawskich. Zorganizowano nawet bojówki zarzucające prymasowi zdradę. Krzyczano pod jego adresem: „Zdrajca! Zdrajca!” Popychano, szarpało tych, którzy mu towarzyszyli. I w pewnym momencie, kiedy te bojówki się skończyły, nagle prymas wszedł, i dookoła spokój. I dookoła tysiące ludzi, i wielkie wzruszenie. I usłyszał ksiądz prymas: „Już teraz jest ksiądz prymas bezpieczny. Tutaj sami swoi.” Jeszcze próbowano urządzić mu sceny, takie seanse wrogości przed jego własnym domem. Nieraz przez pół godziny czy godzinę znajdowano tych, którzy skandowali wrogie dla niego hasła. A prymas odpowiadał: „A ja mam dla was jedną odpowiedź. A ta odpowiedź to jest miłość.” Taki był wielki Prymas Tysiąclecia w tych bardzo trudnych czasach, trudnych dla niego, trudnych także dla Polski.

W Łomży, dn. 6 sierpnia, podczas milenijnych obchodów powiedział tak:

(...) widzieliśmy tutaj wiele, zbyt wiele milicji. Wydaje nam się, że to zbędny lęk. Przybyli przecież katolicy, którzy miłują się po Bożemu. (...) Bardzo chciałbym prosić naszych Braci, którzy pełnią służbę bezpieczeństwa, aby się nie bali i aby się niepotrzebnie nie męczyli, stojąc na deszczu (...) Będzie modlitwa i miłość dla każdego, dla wszystkich bez wyjątku.

Tak przebiegały te milenijne obchody. Warto i trzeba o nich mówić. Warto i trzeba mówić o tej atmosferze, która im towarzyszyła. Bo to dzięki tym obchodom, i dzięki głębokiemu przygotowaniu do nich, nastąpiło później to, co się stało.

Ale przeżył ksiądz prymas, jak i wszyscy Polacy, również dzień bolesny. Były to uroczyste jasnogórskie obchody, na które zaproszono papieża Pawła VI. Papież bardzo chciał przybyć do Polski na te obchody. Niestety władze komunistyczne odmówiły mu zgody na przyjazd. Dlatego w dzień uroczystych obchodów milenijnych na Jasnej Górze stało puste krzesło przeznaczone dla papieża. Nikt na nim nie usiadł. Trzeba było poczekać 13 lat, by na tym samym miejscu zasiadł papież, papież Polak. Nie byłoby tam papieża-Polaka, gdyby wcześniej nie było to puste krzesło dla Pawła VI.

I jeszcze jeden wątek, o którym trzeba nam wiedzieć: II Sobór Watykański, lata 1962 – 1965. Europa, która wyszła z wojny, świat, który wyszedł z wojny, potrzebował odnowy, potrzebował przemyślenia, potrzebował nowego ustawienia, nowego tchnienia. Różnie wyglądało to w różnych rejonach świata. Ksiądz prymas i nasi biskupi brali bardzo czynny udział w soborowych obradach. Wyjeżdżali zawsze, kiedy było to potrzebne. Zawsze byli widoczni — w Rzymie, w Stolicy Apostolskiej, we Włoszech.

Wykorzystywali także ten czas dla integracji Polonii. Zorganizowano wtedy na dobre duszpaństwo Polaków na całym świecie. Ale przede wszystkim soborowe obrady, przede wszystkim to nowe tchnienie Ducha Świętego. Jedną z trudniejszych rzeczy były soborowe reformy liturgiczne, tzn. odejście od języka łacińskiego na rzecz języków narodowych. Trzeba było te reformy wprowadzić w późniejszym okresie, o czym będziemy mówić zapewne jutro. Ale we wszystkich ważniejszych sprawach nie brakowało zawsze głosu rozsądku, a nade wszystko modlitwy i obecności wielkiego prymasa Polski. Znał go i kojarzył go dosłownie cały Rzym. Cenił go bardzo papież. W 1963 r. Jan XXIII zmarł, wybrano Pawła VI. Paweł VI, jak jego poprzednik, był wielkim czcicielem Matki

Bożej Częstochowskiej, i wielkim przyjacielem kardynała Wyszyńskiego. Gdy sobór dobiegał końca, dn. 8 grudnia 1963 r. ogłoszono prawdę o Maryi jako Matce Kościoła. Był to wynik zabiegów polskich biskupów z kardynałem Wyszyńskim na czele.

Na zakończenie soborowych obrad, podczas mszy świętej uroczystej odbywała się procesja. W tej procesji szli starannie wybrani kardynałowie, biskupi, przedstawiciele wiernych, niosąc ze sobą orędzia przeznaczone do różnych stanów na całym świecie. Do tej procesji został wybrany także kardynał Stefan Wyszyński. Niósł orędzie skierowane do uciskanych i biednych. Tuż za nim szedł niewidomy człowiek prowadzony przez psa. Prymas Wyszyński tak to wspominał:

Bardzo mnie to uderzyło. Przez tyle lat służyłem ociemniałym w Laskach. Było więc dla mnie radosnym, że Ojcu Świętemu prowadzę, razem z psem, ociemniałego. W rzeczywistości bowiem człowiek na służbie dzieci Bożych jest właśnie takim psem. I chciałby cała duszą tak wiernie służyć diatwie Bożej, jak umie to czynić wierny pies. Wszystko przemawia — i słowa, i znaki. Ja też poczytałem to sobie za znak, bez słów. Dlatego też jestem wśród was

mówił do mieszkańców Warszawy kilka tygodni później

jak ten pies przy ociemniałym aby wam, drogie dzieci Boże, służyć.

Taki właśnie był Prymas Tysiąclecia w tym najtrudniejszym okresie naszej powojennej historii — jak pies przy ociemniałym. Przywracał nam godność, a wraz z tym przywracał nam wzrok. Ukazywał horyzonty dobra i zachęcał, żeby zło dobrem zwyciężać. Nie tylko słowami, ale przykładem własnego życia.

W tymże samym okresie u jego boku wyrastał najpierw ksiądz, a od 1958 r. biskup, a od lat 60. kardynał Karol Wojtyła. Kiedy ksiądz Wojtyła zostawał biskupem, miał 38 lat. U boku wielkiego prymasa nabierał kształtów ten, który w 1978 r. miał być na ustach całego świata. Tak przedziwnie Pan Bóg prowadzi tych, którym przeznacza szczególne miejsce w historii i w ludzkich sumieniach. Kardynał Wyszyński był prowadzony taką ręką Bożą, i tej ręki Bożej stale się trzymał.

A nauka z tej naszej medytacji jest taka:

- Warto i trzeba zachować Bogu wierność we wszystkich okolicznościach swojego życia.
- Warto i trzeba trzymać się Bożej ręki, i nie wypuszczać jej ze swojej ręki.
- Warto i trzeba cenić, rozwijać naszą polską i katolicką tradycję.

Prymas, dodajmy to na końcu, przeżył w Rzymie trudny epizod. Kiedy był podczas soborowych obrad, wówczas do Rzymu udała się samowolna delegacja inteligencji katolickiej polskiej. Miłosiernie pominię ich nazwiska, bo były znane. Udali się do Rzymu, i rozpuszczali przeciw prymasowi fałszywe wieści. I zachęcali, żeby papież mianował nuncjusza, bo zbyt wiele od prymasa zależy. Że potrzebny jest ktoś, kto będzie obok prymasa, bo wpływ prymasa jest zbyt duży a jego wiara plebejska, jego pobożność plebejska. Te słowa, te oskarżenia, dotarły do księdza prymasa. Przeżywał je bardzo. Dobrze wiedział, że są fałszywe. Ale także to, co fałszywe, też boli. I swoim oskarżycielom, którzy jeszcze w Polsce długo odgrywali swoją rolę, wybaczył z serca. Jedni z nich go przeprosili, inni — nie. I tak to już jest.

Jeżeli chcemy czegoś się nauczyć więcej z życia tego wielkiego człowieka, to trzeba nam zawsze wiedzieć, że dobro wyzwala nie tylko potężne energie dobra, którą stanowią wdzięczność, ale że również dobro rozzuchwala zło. I tak jest po dzień dzisiejszy. Dlatego tak bardzo zawsze potrzeba ludzi sumienia.